

Powielacze na szmuglerskim szlaku. Fragmenty wspomnień emigracyjnych

Autor tekstu: **Marian Kaleta**

Pierwsze dni grudnia nie zapowiadały wielkiej tragedii, jaka miała się rozegrać na Wybrzeżu już za parę dni. Mieszkałem wtedy w Malmo. Po niemal rocznej wędrówce przez pół Europy miałem wreszcie własny ką. Jak małe dziecko zaczynałem raczkować w zupełnie nowym dla mnie kraju, jakim była Szwecja. Dlaczego jako miejsce docelowej emigracji wybrałem kraj wikingów, nie jest mi łatwo odpowiedzieć. Myślę, że przyczyn było parę: swoje zrobiły z pewnością filmy Bergmana, jednak również nimb „kraju dobrobytu”, jakim otoczona była Szwecja, odegrał ważną rolę. Jak to zwykle w życiu bywa, rzeczywistość okazała się bardziej skomplikowana i inna, niż zakładałem. Zaczynałem od zera; musiałem kupić sobie łyżkę, nóż i widelec, aby móc zjeść obiad czy kolację, a także łóżko, aby móc spać jak człowiek.

Proste sprawy urastały do rangi problemu, a najgorsze było to, że prawie nie znałem języka szwedzkiego. W praktyce byłem więc analfabeta, czego nikomu nie polecam, ponieważ jest to sytuacja, która stwarza kolejne problemy. Jedyne jasne punkty w tej jakże skomplikowanej rzeczywistości stanowił fakt, że byłem wolny. Nie musiałem obawiać się kolejnego aresztowania, przesłuchania czy tradycyjnego 48-godzinnego zatrzymania.

Wszystko to jakby pozostało gdzieś daleko, ale jednocześnie było w zasięgu ręki. Zaczytywałem się literaturą emigracyjną i po raz któryś zadawałem sobie pytanie: dlaczego?, a im częściej je sobie zadawałem, tym częściej nie znajdowałem odpowiedzi. Prowadziliśmy nocne Polaków rozmowy, które jednak niczego nowego nie przynosiły. W bibliotece miejskiej w Malmo były polskie książki i dlatego mieliśmy szansę, bez znajomości języka szwedzkiego, podnosić swoją „edukację”. Oczywiście „Kultura” spełniała tutaj zasadniczą rolę. Trzeba pamiętać, że komuniści sami robili niezłą reklamę Instytutowi Literackiemu jako organowi CIA, a każdy Polak, oczywiście na przekór władzy, chciał zapoznać się z tym złem, które amerykańscy imperialiści aplikowali PRL. Patrząc na to dzisiaj z perspektywy czasu śmiech mnie ogarnia. W każdym razie, „książkę” walenie przyczynił się do podniesienia edukacji ludu i za to mu chwała. Nie należałem nigdy do ludzi uporządkowanych, a wręcz przeciwnie — do impulsywnych, działających po wpływie chwili, co miało okazać się w przyszłości przyczyną zarówno wielu radosnych, jak i smutnych zdarzeń. Postawa tego typu często rodzi bowiem konflikty z samym sobą i nie tak łatwo je zlikwidować. Prowadziliśmy wtedy, ja i moi koledzy, „dziwny” styl życia, polegający na zamianie dnia na noc, a nocy na dzień. Niekończące się turnieje brydżowe, nocne czytanie literatury wywrotowej itd. były chlebem powszednim. Czekaliśmy wszyscy na kolejne kursy języka szwedzkiego dla cudzoziemców, a żyliśmy z zapomogi dla bezrobotnych. Wierzyliśmy, że coś się zdarzy, jednak nikt z nas nie potrafił powiedzieć co.

Ten beztrojski „życiowy człowiek pocziwego” przerwały wydarzenia grudniowe w 1970 r. na Wybrzeżu. Było późne popołudnie, pierwszy dziennik telewizyjny o godzinie osiemnastej i pierwsze wiadomości o krwawych zajściach na Wybrzeżu. Pamiętać trzeba, że mieszkając w Malmo czuliśmy niemal namacalnie grozę tamtych dni; docierały do nas wiadomości o zabitych, rannych, aresztowanych — odpowiedź władzy na protest robotników w związku z przedsięwziętą podwyżką cen żywności. Jak zły sen miałem jeszcze przed oczami wystąpienia marcowe w 1968 roku w Krakowie; teraz czułem niemal zapach gazu łzawiącego, słyszałem krzyk bitych i zabijanych — to działo się tak niedaleko, za ledwie po drugiej stronie Bałtyku. Oczywiście wiedziałem, że nie wolno siedzieć z założonymi rękami, trzeba urządzić demonstrację przed konsulem PRL.

To była pierwsza myśl, druga — trzeba się dowiedzieć, co naprawdę wydarzyło się na Wybrzeżu. Pożyczonym autem pojechaliśmy do Ystad, gdzie przyplływały promy ze Świnoujścia. Władza chciała pokazać, że nic się nie dzieje i dlatego połączenie funkcjonowało normalnie. Niestety nie uzyskaliśmy żadnych konkretnych informacji, dopiero za którymś razem udało się nam spotkać uczestnika wydarzeń w Gdańsku, który dość szczegółowo opowiedział o rozmiarze tragedii. Podstawowy problem polegał na tym, że ludzie bali się mówić, strach robił swoje. Demonstracja nie była udana: około 20 uczestników trudno uznać bowiem za sukces; z okien konsulatu fotografowano nas dyskretnie, lokalna prasa opisała wydarzenie i to koniec. W tym czasie nawiązałem pierwsze kontakty z red. Jerzym Racjonalista.pl

Giedroyciem, zbierałem dla niego opisy wydarzeń grudniowych i wysyłałem do „Kultury”, to już było coś. To co wydarzyło się w grudniu, jeszcze raz utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie tak łatwo będzie obalić władzę komunistyczną w Polsce, bo to proces na lata, a czas pomyśleć o swojej przyszłości. Kontakt z „Kulturą” nie zerwałem, kontynuowałem go przez Norberta Żabę w Sztokholmie. W latach 1970-1978 nie uczestniczyłem w jakiś specjalny sposób w działalności politycznej. Powstanie KOR nie wywołało u mnie opętającego entuzjazmu, byłem bowiem przekonany, że wcześniej czy później jego czołowi działacze wylądują w więzieniu i taki będzie finał zabawy. Myliłem się jednak, choć nie ja jeden. Czasy Gierka były już innym rozdziałem, a ja sam miałem czynnie uczestniczyć w tej wielkiej grze. Mogę o sobie powiedzieć, że jestem fatalistą, wierzę, że co ma być, to będzie, czyli w stare polskie przysłowie: „co komu pisane, to go nie minie”. W myśl tej zasady wiosną 1978 roku spotkałem na ulicy w Lund Andrzeja Koraszewskiego, poszliśmy na kawę i od słowa do słowa Andrzej przedstawił mi, co robi i dla kogo oraz ukazał skalę problemów. W roku 1978 opozycja demokratyczna przedstawiała już jakąś siłę, wydawała własne niezależne pisma, książki, biuletyny; skala tych działań była wprawdzie jeszcze wówczas niewielka, jednak podejmowano już jakieś kroki.

Głównym problemem, który stał na przeszkodzie w podniesieniu nakładu druków był brak „maszyn drukarskich”, mam tu na myśli powielacze. Podstawową techniką był jednak sitodruk. Aby móc w jakiś sposób zmienić ten stan rzeczy potrzebne były pieniądze na zakup powielaczy tu na Zachodzie, a następnie stworzenie możliwości nielegalnego przetransportowania ich do kraju. Nie były to zadania proste.

Aby móc zrozumieć atmosferę tamtych lat trzeba pamiętać, że przeciętnego polskiego emigranta, choć najczęściej uważał się on za uchodźcę politycznego, sprawy kraju nie interesowały. Hasłem dnia było „dorobić się”. Zabawa w politykę to było zajęcie dla wariatów, bo przecież pieniędzy z tego nie było, a pochłaniało jeszcze masę czasu. Na terenie Szwecji takich maniaków było niewielu: w Sztokholmie [Maria Borowska](#) oraz [Jakub Święcicki](#), w Lund Andrzej Koraszewski i Józef Lebenbaum, w Malmö zaś, piszący te słowa, M. Kaleta. Osobną grupę tworzyła Kopenhaga. Działali tam Maryla Dajczgewant, siostra znanego komandosa z marca 1968 roku — Józefa Dajczgewanta, jej mąż A. Świętek z Krakowa (mój dobry przyjaciel, z którym razem uciekliśmy z Polski w 1969 roku) oraz Roman Śmigielski. To było wszystko na parę tysięcy Polaków zamieszkałych w całej Skandynawii.

Ojcem rewolucji był A. Koraszewski, który pociągał za poszczególne sznurki, kiedy przychodziła na to odpowiednia pora. To on dysponował pieniędzmi z „Kultury”, sam też często potrafił je „wyżebrać” tu i tam, w ogóle był to autorytet. Najważniejsze zaś, że miał kontakty z krajem. Był reprezentantem KOR, chociaż wtedy słowa reprezentant nie często się używało. Dość szybko się zorientowałem, że aby móc efektywnie pomagać, należy po prostu zbudować prężną organizację przeznaczoną do tych celów.

Zamówienia z kraju rosły, a my początkowo nie mieliśmy niemal żadnych efektów. Wbrew pozorom jednak do końca 1978 roku udało się zbudować niezbędną bazę na przyszłość. Tutaj muszę wyjaśnić, co to oznaczało w praktyce. Udało mi się znaleźć człowieka, który miał niewielką firmę i handlował sprzętem biurowym. Były to różnego typu kopiarki, powielacze, kopiarki do matryc białkowych, farby różnego typu itd. Ten przyzwoity Szwed, a było takich wielu przez następne lata, zgodził się wyszukiwać dla nas (za małe pieniądze) używany sprzęt poligraficzny, jakiego potrzebowaliśmy oraz pomoc w ewentualnych naprawach. „Złota rączka” z Kopenhagi, Andrzej Ś. miał dokonywać reszty. Do wigilijnego stołu w 1978 roku zasiadałem dumny z siebie. Miałem na składzie dwa powielacze typ Gestetner 365: jeden elektryczny, na który pieniądze zdobył Andrzej K. od studentów w Lund, drugi ręczny kupiłem za swoje pieniądze na targu ze starociami. Mieliśmy do nich trochę farby, jak również odpowiednią liczbę matryc białkowych.

Tak wyglądał początek. O tym, jak to wszystko dostarczyć do Warszawy, nie miałem jeszcze wówczas pojęcia, jednak wydawało mi się, że najważniejsze było to, iż miałem sprzęt. Wiosna upłynęła mi na szukaniu sposobu przetransportowania go do kraju. Dość szybko zorientowałem się, że nie ma co liczyć na metody amatorskie i należy stworzyć od zera kanał szmuglerski.

Pomogły mi w tym moje wcześniejsze doświadczenia. Otóż w 1974 roku pracowałem w Hamburgu u niejakiego Moszkowicza. Każdy kto się pojawiał w tym mieście wiedział, że jest on właścicielem sklepu w porcie i można z nim załatwić każdy interes.

Mój interes był w tamtym czasie bardzo prosty. Chciałem zarobić trochę pieniędzy po nieudanej eskapadzie do kasyna gry w Travemünde. Jeden z moich kolegów wymyślił bowiem

„sposób na wygraną w ruletkę”. Nie zastanawiając się zbyt długo czy — nie daj Boże — ktoś inny nie ubiegł nas w pomysł, całą bandą pojechaliśmy grać. „Ruletka to jednak jest amerykańska gra, jednemu weźmie, a drugiemu da” — w myśl tej zasady dość szybko przegraliśmy wszystkie pieniądze i nagle wylądowaliśmy w Hamburgu bez grosza. Przypadkowo poznani Polacy polecieli nam firmę Moszkowicz & S-ka jako miejsce, gdzie można zarobić parę groszy. W taki oto sposób zacząłem pracować w tej firmie, jako człowiek do wszystkiego. Praca polegała głównie na pomaganiu marynarzom polskim oraz innym narodowości w zakupach określonych towarów, a następnie przygotowaniu ich do przeszmuglowania na ląd. Nie ma chyba Polaka czy Polki, którzy by nie mieli z tamtych czasów spodni lub sukienki z grepliny. U „Moska” sprzedawaliśmy tego materiału na tysiące metrów. Cała tajemnica owego handlu polegała na tym, aby uniknąć oclenia towaru w kraju. W polskich portach odchodził szmugiel pełną parą i wszyscy byli zadowoleni, bo zarabiali „duży szmal”. Mając doświadczenie z Hamburga zacząłem się rozglądać za polskimi statkami w porcie w Malmö, jednak bez skutku. Najbliżej leżący duży port to Kopenhaga, ale o Polskie statki też nie było tam łatwo. Kilkakrotnie po prostu nie zdążyłem — statek odpłynął, zanim ja zdążyłem dojechać na miejsce. Nie należy zapominać, że w tym czasie każdy z nas normalnie pracował.

Ja byłem wówczas świeżo po ukończeniu szkoły i zacząłem właśnie pracować jako optyk w swojej firmie, jednak mój wspólnik nie patrzył łaskawym okiem, kiedy znikalem za często. Niezależnie od tych niepowodzeń byłem jednak przekonany, że to jedyna dla nas droga przetrwania. Oczywiście, dobrze sobie zdawałem sprawę, że nie każdy marynarz weźmie trefny towar, jednak wiedziałem również, że za forszę można wiele załatwić — pozostawała więc właściwie nie kwestia czy, ale za ile. Nie liczyłem na żadne patriotyczne pobudki, doświadczenie nabyte u „Moska” uwolniły mnie bowiem od liczenia na tego typu sentymenty. Muszę tutaj napisać szczerze, że nie bardzo się to podobało A. Koraszewskiemu, który uważał, że trochę patriotyzmu od ludzi należy wymagać. Staralem mu się jednak przypominać w takich chwilach, że towarzysz Iljicz Lenin dokonał rewolucji za pieniądze niemieckie, a nie dzięki patriotycznym pobudkom ludu rosyjskiego.

Niezależnie od wszystkiego miałem jego akceptację, by płacić, jednak rozsądne ceny, żeby nasz budżet wytrzymał. Do naszej spółki na południu Szwecji dołączył J. Świącicki ze Sztokholmu. Obiecał pomagać finansowo, miał do dyspozycji fundusze Rządu Emigracyjnego w Londynie. W tamtych czasach były to relatywnie dość znaczne sumy, jakie zbierała emigracja polityczna na pomoc krajowi. Nie wszyscy mówili głośno, skąd brali pieniądze, a nierzadko sami sobie przypisywali niesłusznie zasługi.

Z kraju tymczasem przychodziło coraz więcej zamówień, opozycja rosła, a wraz z nią zwiększały się potrzeby. Powoli nasz obraz też zaczynał być klarowny. W tym miejscu należy wyjaśnić, że nikt nigdy na Zachodzie nie konstruował powielaczy, offsetów biurowych typu Roneo Vickers z myślą, by spełniały rolę maszyn drukarskich i były używane 24 godziny na dobę. W życiu jednak bywa inaczej i opozycja lat siedemdziesiątych wykorzystywała te maszyny do maksimum. Niezależnie od trudności ze zdobywaniem papieru istniał wieczny problem części zamiennych i innych niezbędnych akcesoriów, aby wszystko utrzymać w ruchu. Tutaj mistrzem nad mistrzami był [Miroslaw Chojecki](#), szef „NOWej”. Aby to wszystko zrozumieć potrzeba było czasu, którego obydwie strony nie miały. Dodatkową trudność sprawiało to, że „czerwoni” nie dawali paszportów na wyjazd osobom podejrzanym o działalność opozycyjną.

Dopiero po latach okazało się, jak trafna to była decyzja z ich strony, jak ważna dla opozycji. Okazało się po prostu, że z powodu braku kontaktów z Zachodem wielu liderów opozycji miało zupełnie wypaczony obraz rzeczywistości. Ten zaś, który sami zbudowali był przyczyną wielu nieporozumień i niejednokrotnie katastrofalnych decyzji. W każdym bądź razie nie udało się do końca wyeliminować, jeśli idzie o stronę techniczną, nieporozumień, które stały się kością niezgody na przyszłość. Ludzie w kraju po prostu nie rozumieli realiów Zachodu i to stanowiło problem numer jeden. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Lato w roku 1978 było wspaniałe, soczysta zieleń zapraszała do przechadzek, kawiarnie na zewnątrz pełne były ludzi. Po długiej zimie każdy pragnął przeżywać miłe chwile jak najdłużej. Takim miejscem, do którego się wraca co roku, dla mieszkańca Malmo jest Kopenhaga. Wodolot odpływa co godzinę i po 45 minutach jesteśmy w centrum starej dzielnicy Kopenhagi — Nyhaven. Byłem jednym z wielu, którzy podążali tego dnia na przystań wodolotów odpływających do Kopenhagi. Miała to być kolejna podróż w poszukiwaniu polskich statków, przypadek zrzucił, że wszystko potoczyło się inaczej.

W drodze do kasy biletowej zobaczyłem na końcu basenu portowego zacumowany duży

dwumasztowy jacht z polską banderą. Nie zastanawiając się ani przez chwilę podążyłem w jego kierunku. Na pokładzie nic specjalnego się nie działo, wmaszerowałem więc na pokład z pytaniem, gdzie jest kapitan. Po upływie chwili zjawił się człowiek krępej budowy, średniego wzrostu, z brodą i wąsami. Przedstawił się krótko jako Edward Waszkiewicz i zapytał, o co chodzi. Odpowiedziałem, że mam interes, ale może lepiej będzie porozmawiać przy piwie. Kapitan wyraził zgodę; zanim opuściliśmy pokład, rzucił kilka słów do jednego z członków załogi. Nie musieliśmy wędrować daleko. Przystań wodolotów znajduje się blisko dworca głównego w Malmo, a na dworcu jest najlepszy pub w stylu angielskim. Usiedliśmy w głębokich skórzanych fotelach i zaczęliśmy rozmawiać. Po wymianie paru zdań Edward zapytał, co mam na myśli mówiąc o interesie do zrobienia. Zamówiłem kolejne piwo i w dość spontaniczny sposób powiedziałem, o co chodzi. Na odpowiedź nie musiałem długo czekać. Była pozytywna. Pierwsze co go interesowało, to ile maszyn jest do przewiezienia, ich wielkość, jak również inne praktyczne detale. Po kolejnym piwie rozmowa potoczyła się już wartko. Umówiliśmy się na spotkanie następnego dnia. Są chwile w życiu każdego z nas, kiedy świat wydaje się piękny, a wszystkie problemy bagatelą. Takie odczucia miałem po pożegnaniu się z Edkiem. Po powrocie do domu natychmiast zadzwoniłem do A. Koraszewskiego do Lundu. Radość moja nie miała granic, wreszcie po roku szamotania się mieliśmy realną szansę przeszmuglowania sprzętu dla KOR. W krótkich słowach przedstawiłem Andrzejowi co i jak, uważając oczywiście, że należy mi się co najmniej pochwała za dobrze wykonane zadanie.

Stało się jednak inaczej. Po wysłuchaniu mojej, dość chaotycznej, relacji Andrzej zareagował bardzo racjonalnie i zadał mi pytanie, czy mam jakąś gwarancję, że przekazany do przesyłki powielacz nie wyląduje na dnie Bałtyku, przyczyniając się jeszcze dodatkowo do wytrucia farbą powielaczową dorszy. Muszę przyznać szczerze, że szlag mnie trafił. Wysłuchałem obiekcji Andrzeja, ale mimo wszystko postanowiłem zaryzykować. Następnego dnia z rana zadzwonił Andrzej, który przetrwał sprawę i podjął decyzję, że należy zacząć burzyć porządek po Jałcie. Oznaczało to zgodę na wysłanie ręcznego Gestetnera, który kupiłem na pchlim targu za własne pieniądze rok wcześniej. Myślę, że gdyby ówczesny szef wywiadu PRL, gen. Pożoga dowiedział się o tym fakcie, to z pewnością by się nie śmiał [1]. Skala zapoczątkowanego bowiem w ten sposób procederu urosła do niebagatelnej liczby ponad 600 maszyn przeszmuglowanych do kraju w ciągu następnych lat. Jak się później okazało, gen. Pożoga w swoich pamiętnikach przechwalał się, że oczywiście jego służby wszystko wiedziały i miały pod dyskretną kontrolą. Daj Boże dużo zdrowia generałowi, bo jego doświadczenie może być jeszcze przydatne. „Fachowcy” zawsze są potrzebni.

Na pierwszą przesyłkę przeznacziliśmy jeden powielacz Gestetner 365, matryce białkowe, farbę, książki, zszywki metalowe oraz zszywacz. Wszystkie te rzeczy wyciągnęliśmy z „magazynów” w Malmo i Lundzie. Oznaczało to w praktyce, że pod moim małżeńskim łóżem zrobiło się nagle pusto. Podobnie jak w garderobie. Prawda była taka, że długo jeszcze nie było nas stać na jakiegokolwiek magazyny.

Dopiero w drugiej połowie 1981 roku wynająłem po prostu na magazyn piwnicę, aby uniknąć protestów żony, że musi chodzić dookoła, aby wejść do łóżka. Spotkałem się z Edwardem na mieście o umówionej godzinie i razem z jego sternikiem z jachtu, Stanisławem Reszką zaczęliśmy załatwiać interesy. A były to prawdziwe interesy. Okazało się, że jacht jest nafaszerowany towarem, który należy wynieść i upłynnić.

Przypomniało mi to Hamburg, gdzie w podobny sposób polscy marynarze zarabiali forszę, aby mieć gotówkę na kupno towaru. Nie zastanawiałem się w ogóle, co mi grozi, jak mnie złapie szwedzkie „clo” na przemyście wódki. Po prostu nie miałem wyboru: należało jakoś wypróżnić jacht z towaru i zapakować moją przesyłkę. Przeszmuglowanego do Szwecji towaru było dużo: wódka, papierosy, osprzęt żeglarski, składane pontony oraz masa innych rzeczy na sprzedaż. Niezależnie od strachu wiedziałem jedno, że to musi się udać. Następnego dnia o umówionej godzinie — w samo południe — pojechałem moim prywatnym samochodem Peugeot 404 na keję, gdzie był przycumowany jacht i błyskawicznie przeładowaliśmy najbardziej trefny towar: wódkę i papierosy. Nie trwało to dłużej niż parę minut. Zakładałem — i słusznie — że najciemniej jest pod latarnią i nikomu nie przyjdzie do głowy, że coś nielegalnego kombinujemy. Dalsze losy towaru już mnie nie interesowały.

Tego samego dnia po południu załadowałem nasz towar. Oczywiście nie informowałem Andrzeja o tym, że była to „transakcja wiązana”; szkoda by było, żeby się niepotrzebnie denerwował, iż w razie wpadki dojdzie do komplikacji dyplomatycznych na wysokim szczeblu, a burzenie porządku po Jałcie może się skończyć po prostu grzywną dla M. Kalety za nieudany szmugiel wódki, a to byłby już po prostu skandal. Wszystko dobre, co się dobrze kończy; po

ustaleniach komu oddać naszą przesyłkę w kraju, Edward odpłynął następnego dnia. Zanim jednak to miało miejsce, u mnie w domu odbyła się wspólna kolacja. Pozwoliło to bliżej poznać ludzi ze świata żeglarskiego, co było warte wszystkich pieniędzy w przyszłości. Najważniejszy był dla mnie fakt, że pobyt jego załogi w Malmo był nielegalny. Okazało się, że był to tzw. rejs przybrzeżny na trasie Gdańsk-Szczecin, a to, że na trasie było Malmo to już „inna inszość”. Genialność tego pomysłu polegała na tym, że nikomu nie przychodziło do głowy, aby szukać kontrabandy na pokładzie, skoro jacht nie zawijał do żadnego portu. Osobą, która była mózgiem tego przedsięwzięcia był Edward Waszkiewicz — kapitan jachtu, a pomagał mu Stanisław Reszka — sternik.

Jak w każdej dobrej organizacji był tu ewidentny podział ról: za jacht i dobór załogi odpowiedzialny był Edward, a za sprawy „zaopatrzenia” — Stanisław. Trzeba pamiętać, że był to już okres dużych trudności w zakupie czegokolwiek na wolnym rynku. Był jeszcze ostatni problem, finansowania całej eskapady, czyli kosztów wyczarterowania jachtu i innych niezbędnych inwestycji. Tutaj dogadaliśmy się szybko, wziąłem na siebie wszystkie koszty przepłynięcia jachtu, pod jednym wszak warunkiem — że będzie zabierał nasz towar.

Po tej nieprzespanej nocy, bo kolacja przeciągnęła się do późnych godzin nocnych nie bardzo miałem ochotę iść do pracy, ale na chleb trzeba było zarabiać. Nie wiem, jak przepracowałem ten dzień, ale myśli moje zaprzętało co innego: czy transport dotrze szczęśliwie. Musiałem się uzbroić w cierpliwość, a to nie było nigdy moją najsilniejszą stroną. Czekać, to był nakaz chwili, a ja nie lubiłem na nic czekać. Tutaj chciałbym zaznaczyć, że to były najtrudniejsze chwile, okres wyczekiwania dłużył się w nieskończoność, ciągle zapytywanie samego siebie, czy gdzieś nie popełniliśmy błędu itd. To była istna katorgia, gorzej, że to odbijało się na atmosferze w domu. Tak niestety było już przez wiele następnych lat. Czekanie na potwierdzenie odbioru transportu trwało niekiedy nawet kilkadziesiąt dni. Tak było też tego pierwszego razu. Kiedy już niemal straciłem nadzieję na szczęśliwe zakończenie wyprawy i przez chwilę myślałem o dorszach na dnie Bałtyku, które będą musiały jeść „Kulturę”, albo o jeszcze, nie daj Panie Boże, innych komplikacjach na arenie międzynarodowej, ogarniał mnie błydy strach. Moje obawy okazały się jednak nieuzasadnione. Mijał kolejny dzień po odpłynięciu Edka — był wieczór, gdy zadzwonił Andrzej K. z Lundu. „Muszę ci pogratulować, dzwonił mój brat, przesyłka dotarła do adresata”. Nie wiem co mu odpowiedziałem, ale wiem co innego, omal nie zwariowałem ze szczęścia. Udało się, mieliśmy nareszcie otwartą drogę do kraju. Za parę dni zadzwonił Edward i zapowiedział następną wizytę.

Ten pierwszy udany transport miał niemal historyczne znaczenie, to, że wreszcie nam się udało było bez znaczenia wobec faktu, że mogliśmy zapewnić stałość dostaw. Po potwierdzeniu przez Edwarda kolejnego przybycia, długo i zawzięcie konferowaliśmy z Andrzejem K. oraz Andrzejem S. z Kopenhagi.

Dokonaliśmy zakupu jeszcze jednego powielacza marki GECHA, ściągnęliśmy maksymalną ilość książek, zakupiliśmy matryce białkowe, farbę i inne potrzebne akcesoria. Oczywiście zabezpieczając niezbędne środki na pokrycie kosztów przesyłki. Cały czas szukaliśmy oczywiście najtańszego źródła zakupu, bo pieniędzy mieliśmy tyle, co przysłowiowy „kot napłakał”. Tutaj nieocenione usługi oddał Andrzej z Kopenhagi, który szybko dogadał się z fabryką z Keros, co umożliwiło nam kupowanie po symbolicznej cenie np. farby do powielaczy w tubkach, matryc białkowych itd., powstał natomiast inny problem, który nigdy nie został rozwiązany w pozytywny dla nas sposób. Wwozu zakupionych rzeczy do Szwecji.

Mimo tłumaczeń na wszelkie możliwe sposoby, co, komu i dlaczego, szwedzkie „cło” miało zawsze tę samą odpowiedź, że jesteśmy zobowiązani płacić cło od wwożonego towaru. Po pierwsze nie mieliśmy pieniędzy na płacenie cła, po drugie uważałem, i tak uważam do dzisiaj, że było to niesprawiedliwe.

Kupowane materiały nigdy nie pozostawały na terenie Szwecji, a były szmuglowane do Polski, w związku z tym nie widziałem powodu, dla którego miałbym płacić cło i 25% VAT-u od wartości zakupu. Przyjąłem zatem zasadę, że będziemy też szmuglować z Danii do Szwecji, aby uniknąć komplikacji. Jak miała pokazać przyszłość, komplikacje miały się jednak dopiero zacząć.

W każdym bądź razie na ten drugi transport ściągnęliśmy maksimum tego, co możliwe. Jak zwykle mieszkanie zmieniało się w magazyn, dni dłużyły się w nieskończoność w oczekiwaniu na przyplnięcie jachtu. Tutaj muszę zaznaczyć, że nigdy żadne terminy nie były dotrzymane, a wszystkiemu winny był po prostu wiatr, bo przecież nawet dureń wie, że jak

wiatru nie ma, to jacht nie płynie. Ja należałem do tych durni, co uważali, że należy dotrzymać terminów, inni mieli bardziej spokojne podejście do tych spraw. Po paru dniach „normalnego spóźnienia”, bo znowu nie wiało tak, jak trzeba, Edek zameldował się w porcie jachtowym w Simirsham, około 85 kilometrów od Malmo. Tego samego wieczoru, już jako „starzy przyjaciele”, zaczęliśmy dość spóźnioną kolację. Oczywiście, aby zasiąść do kolacji musiałem gości przywieźć z Simirsham do Malmo. Bagatela około 200 km tam i z powrotem. Wszystko odbyło się, jak przewidywaliśmy w poprzednim transporcie i dlatego była okazja, aby celebrować sukces. Nie należałem nigdy do tęgich pijaków i dlatego nie byłem w stanie dotrzymać kroku braci żeglarskiej, położyłem się jednak spać dopiero nad ranem.

Następnego dnia nie było oczywiście mowy o pójściu do pracy, trzeba było bowiem rozładować jacht z towaru i przygotować załadunek transportu do kraju. Sytuacja była zupełnie inna niż poprzednim razem w Malmo. Simirsham to mała dziura i pobyt polskiego jachtu był lokalną sensacją. Oczywiście musiałem wytłumaczyć, dlaczego jacht przyplłynął i całą resztę. Szwedzki celnik wyraził pełną życzliwość i zrozumienie. Rozmowa zakończyła się osławionym powiedzeniem „nie ma problemu” i znowu się udało. Życzliwość celnika posunęła się tak daleko, że wyrzucił cywili z nabrzeża, co pozwoliło nam rozładować bez problemu towar przywieziony z kraju. Wieczorem dokonaliśmy załadunku; celnik obdarowany flaszką „Wyborowej” odmaszerował do domu, a my odjechaliśmy do Malmo. Nie zanosilo się na następny przyjazd w 1979 roku, dlatego należało ustalić wszystko na rok następny. Nie jest łatwo planować na rok do przodu, ale jakoś udało się nam dograć wszystko do końca. Po dwóch dniach pobytu załogi jachtu w Malmo nastąpił odjazd.

Tak jak za poprzednim razem zaczęło się czekanie. I tak jak za poprzednim razem towarzyszyły mu nerwy. Nigdy nie udało mi się kontrolować samego siebie tak, aby nie dać po sobie poznać, że coś jest grane. Tym razem odbiorcą przesyłki była „NOWa” w Warszawie. Dopiero gdzieś po tygodniu przyszło potwierdzenie odbioru towaru. Opętańcza radość, że się udało, a co najważniejsze, potwierdzenie, że poprzedni raz to nie był odosobniony przypadek. Drugim bardzo ważnym wydarzeniem było nawiązanie bezpośredniego kontaktu z M. Chojeckim, co umożliwilo już konkretne planowanie na przyszłość. Jest normalne, że apetyt rośnie w miarę jedzenia i nasze plany pomocy dla opozycji w Polsce zaczęły przybierać w teorii monstrualne rozmiary. Zapominaliśmy często o polskich realiach, które różniły się zasadniczo od naszych teorii. Co do jednego nie miałem złudzeń, że będą nam potrzebne duże pieniądze, aby możliwości lata 1980 roku wykorzystać do maksimum.

Jesień upłynęła na nieustających konferencjach — co, z kim i za ile. Pamiętać trzeba, że byliśmy jedynymi ludźmi, którzy mieli kanał przerzutowy do kraju. Działał on wprawdzie tylko w okresie lata, ale nikt inny nie posiadał nawet tego. Tutaj chciałbym obalić teorię, która jest ostatnio często lansowana, zarówno w kraju, jak i za granicą. Dziś okazuje się bowiem, że niemal nieprzebrany tłum patriotów zajmował się działalnością opozycyjną na rzecz kraju. Jest to wierutne kłamstwo i po prostu bezczelność. Było wręcz odwrotnie. Na palcach dwóch rąk można zliczyć tych, którzy coś robili. Śmiano się z nas i uważano za politycznych maniaków i durni, którzy tracą czas i pieniądze.

Wiosną 1980 roku zaczęły się praktyczne przygotowania. Po pierwsze udałem się na spotkanie z Rządem Emigracyjnym, aby zdobyć odpowiednie fundusze, a także ustalić plan działania na przyszłość. Wyjazd do Londynu to była już eskapada, ale również przeżycie. Niewielu ludzi w Polsce w tamtych czasach wiedziało o fakcie, że w ogóle mieliśmy jakiś inny rząd niż komunistyczny w Warszawie. Na temat londyńskiego Rządu Emigracyjnego zdania były również podzielone na emigracji. Dla mnie sprawa była dość prosta. Darzyłem tych ludzi szacunkiem za to, co robili i nie wdawałem się w zbędne, niekiedy wręcz paranoidalne dyskusje, czy robili to dobrze, czy źle. Najłatwiej jest krytykować innych, a samemu nic nie robić. Niestety jest to niemal nasza cecha narodowa. Wizytę traktowałem jako spotkanie robocze, ale oczywiście byłem ciekawy tego spotkania z legendarnymi dla mnie ludźmi, jak prezydent Edward Raczyński, premier Kazimierz Sabbat czy wielu innych.

Wyjazd do Londynu miał formę najtańszej wycieczki czarterowej na okres 7 dni. Na Zamku miały miejsce dwa spotkania. Pierwsze oficjalne, czyli audiencja u prezydenta Raczyńskiego. Muszę przyznać, że ogarnęło mnie wzruszenie na widok siedzącego za biurkiem starszego człowieka. Jeżeli ktoś reprezentował polską rację stanu na obczyźnie, to na pewno on. Jest faktem historycznym, że po cofnięciu uznania Rządowi Polskiemu w Londynie w 1945 roku nie kto inny, jak polski ambasador przy rządzie Jego Królewskiej Mości E. Raczyński przekazał klucze od ambasady polskiej na ręce królowej. Po krótkiej osobistej prezentacji przedstawiłem, co i jak oraz moje propozycje na przyszłość. Prosiłem w szczególności o pomoc

finansową na pokrycie kosztów czarterowania jachtu, jak również na sprzęt. Nie pamiętam, jaka to była suma pieniędzy, ale na pewno około 2 tys. dolarów. Takie sumy dostawałem w późniejszym czasie jako minimalne.

Sprawami tego, co działo się w kraju zajmował się tzw. Komitet Krajowy, na czele którego stał ówczesny minister Jerzy Zaleski, jeden z wielu wspaniałych ludzi, z którymi miałem przyjemność współpracować przez następne lata. Z Jurkiem zaprzyjaźniłem się szybko i nigdy w przyszłości nie mieliśmy problemów we współpracy. Ja ze swej strony uważałem za istotne informować „starszych panów” o sytuacji w kręgach polskiej opozycji. Trzeba pamiętać, że już wtedy istniały podziały i nie było bez znaczenia, kto stoi po czyjej stronie. Nie chciałem się autorytatywnie wypowiadać o chorobach polskiego społeczeństwa, ale chciałem przytoczyć konkretny przykład. Nie robiłem sam nigdy podziału na lepszych i gorszych, uważałem wtedy, i nie zmieniłem zdania do dzisiaj, że należało pomagać każdemu, kto prowadził walkę z „czerwonymi”. Zwrócono się do mnie w Londynie, czy można by dostarczyć powielacz dla KPN. Odpowiedziałem, że nie widzę przeszkód, ale muszę mieć adres, gdzie go dostarczyć oraz pieniądze na koszty transportu. W Londynie obiecano mi wszystko z wyjątkiem adresu, który miałem dostać od przedstawiciela KPN w Malmo.

Po przyjeździe do domu skontaktowałem się z człowiekiem, który był miły i przyjemny, ale nic poza tym. Nigdy przyrzeczonego adresu nie otrzymałem, a jeszcze po jakimś czasie dowiedziałem się, że odmówiłem pomocy dla KPN, ale to nic dziwnego, „bo przecież Kaleta to człowiek KOR-u”. Jeszcze długo po tym zdarzeniu szlag mnie trafiał, ale dopiero red. Giedroyc uświadomił mnie, że tak naprawdę to jest bagatela, a należy spodziewać się rzeczy gorszych, czyli oskarżeń o sprzeniewierzenie pieniędzy, agenturalność itd. Dał mi dobrą radę na przyszłość, że jeśli mam zamiar kontynuować moją pracę dla kraju to w ogóle nie należy się przejmować, w przeciwnym razie powinienem ją zakończyć. Zdecydowałem się kontynuować na dobre i na złe, ale muszę przyznać, że miałem niekiedy poważne wątpliwości, czy dobrze zrobiłem.

Podczas londyńskiej wizyty spotkałem się również z [Eugeniuszem Smolarem](#) — pracownikiem polskiej sekcji BBC, a jednocześnie najważniejszym reprezentantem KOR. Z Eugeniuszem błyskawicznie dogadaliśmy się w sprawach praktycznych i tak już zostało do końca. Natomiast nie zawsze mieliśmy to samo zdanie w sprawach politycznych, ale to już inna sprawa. Smolarowie (brat Eugeniusza, Alik Smolar mieszka w Paryżu) robili politykę zawsze i niekoniecznie z pożytkiem dla Polski, ale na pewno z pożytkiem dla nich samych. Mogłem liczyć na finansową pomoc z funduszu pomocy dla polskich robotników, który powstał w Anglii w czerwcu 1976 roku, a którego jednym z sygnatariuszy był prof. Leszek Kołakowski.

Po powrocie do domu mogłem zacząć planowanie praktyczne. Aby mieć jak najjaśniejszy obraz sytuacji, wysłałem moją żonę w odwiedziny do M. Chojeckiego, szefa „NOWej”. Jak się później okazało, było to bardzo potrzebne. Wizyta u Mirka otworzyła nam oczy na tę rzeczywistość, w jakiej żyli i pracowali ludzie ówczesnej opozycji. Nie były to sprawy łatwe, w dodatku skomplikowane bardziej niżby się komuś wydawało. W życiu tak już bywa, że często nie bardzo chcemy przyjmować do wiadomości fakty i prawdę, a nasze pobożne życzenia odnośnie do sytuacji traktujemy jako jej rzeczywisty stan. Trudności, jakie napotykali ludzie z niezależnej poligrafii, były większe, niż można było przypuszczać, a jednak mimo to nakłady rosły, książkę podziemną zaś sprzedawało się jak świeże bułeczki. Jednak już wtedy ludzi dzielono na lepszych i gorszych, już wtedy brak zdrowej konkurencji blokował wiele inicjatyw. Dla nas ludzi z zewnątrz mogło się momentami wydawać wręcz niemożliwe, aby funkcjonować w tak nieprofesjonalny sposób. Jednak polskie realia nie pasowały nigdy do naszych oczekiwań. Dla mnie oznaczało to w praktyce, że muszę sam zorganizować nie tylko szmugiel sprzętu, ale również grupę odbiorczą. Związane to było z dodatkowymi kosztami, ale dawało pewność odbioru przesyłki i dostarczenia jej do rąk odbiorcy.

Ważną sprawą było zachowanie dyskrecji. Muszę przyznać, że, niezależnie od tego, co dziś mówią różni ludzie, SB nigdy nie wpadło na ślad naszych poczynań. Wydaje mi się, że do dnia dzisiejszego zdania na temat, jak należało dotrzymywać tajemnicy w tamtych czasach, są podzielone. Najczęściej mówią o tym ludzie, którzy w życiu nie przesłali ani jednej maszyny, ba, twierdzą oni z uporem, że oczywiście wszystko odbywało się pod cichą kontrolą SB.

Na wiosnę miały miejsce jeszcze dwa wydarzenia. Pierwsze to wizyta S. Reszki, z którym ustaliliśmy „rozkład jazdy” na lato 1980 roku, jak również wszystkie praktyczne szczegóły przewozu sprzętu oraz dostarczenia go do adresata. W tym czasie Stanisław nawiązał dyskretne kontakty z Bogdanem Borusewiczem, które bardzo przydadzą się w przyszłości.

Zorganizowane zostały magazyny, ludzie dysponujący odpowiednimi samochodami transportowymi itp. Drugim ważnym wydarzeniem było nawiązanie stałej współpracy z paroma ludźmi z załogi promu „Pomerania”. Oznaczało to możliwość przesyłania poczty do kraju w pewny i szybki sposób. To też nie kto inny, niż Stanisław zorganizował skrzynki do odbioru i dystrybucji poczty. Maszynieria zaczynała się rozrastać, co oznaczało w praktyce coraz więcej pracy każdego dnia. Nie wolno zapomnieć, że każdy z nas miał normalną pracę w pełnym wymiarze godzin.

Najważniejsze było jednak co innego. W ciągu krótkiego czasu udało się zorganizować potrzebny aparat, aby móc działać efektywnie i sprawnie. Pierwszy rejs jachtem zaplanowany był na czerwiec 1980 roku, co oznaczało konieczność ukończenia przygotowań do końca maja. Wszystko przebiegało zgodnie z planem i nikt nie przeczuwał wydarzeń, jakie miały nastąpić w okresie lata na Wybrzeżu. Oznaki niezadowolenia narastały wprawdzie w społeczeństwie i nie były czymś nowym, ale że to jest ten właściwy moment, nikt nie przewidział. Znamionnym faktem było, że zarówno opozycja jak i władza zasnęły. Do redakcji „Robotnika” docierały sygnały, ale nic poza tym. Zresztą trzeba pamiętać o bardzo ograniczonych możliwościach, jakimi dysponowała opozycja. Natomiast władza jak zwykle zlekceważyła sprawę. To, że partia obudziła się z ręką w nocniku, nikogo nie powinno dziwić. Faktem jednak było, że służby specjalne miały dość jasny obraz sytuacji polskiej gospodarki. Było to więc typowe oczekiwanie na cud, który nie nastąpił. Wręcz przeciwnie, to co miało się już niedługo wydarzyć, to był cud, nie to zaś, czego oczekiwano.

Pierwsza wiadomość, jaką dostałem to informacja, że nastąpi opóźnienie i jacht przyplynie dopiero pod koniec lipca. Było to jakby normalne, ale szlag mnie trafił, burzyło to plan przesyłek na całe lato. Niestety nie miałem na to wpływu i nie pozostało mi nic innego, jak czekać. W kraju zaczynały się pierwsze strajki, a mnie ogarnął blady strach czy np. rejsy jachtów nie zostaną wstrzymane. Wysyłałem ponaglące listy, ale otrzymywałem ciągle tę samą odpowiedź, żebym był spokojny, bo wszystko będzie dobrze. Miałem przygotowane sześć powielaczy i masę innych rzeczy, ale przede wszystkim świadomość jak bardzo w okresie strajków jest potrzebny sprzęt poligraficzny.

W pierwszych dniach sierpnia zjawili się długo oczekiwani goście. Jacht przyplłynął do małego portu jachtowego Loma, bardzo blisko Malmo. Oczywiście powitaniem nie było końca. Załoga składała się z młodych ludzi, członków [Ruchu Młodej Polski](#), na ówczesne czasy radykalnej części opozycji. Przegadaliśmy całą noc, a ja znowu na kolanach powędrowałem do pracy następnego dnia. Rozładunek jachtu odbył się szybko (tym razem nie było tego wiele), a załadunek jeszcze szybciej. Wszystkim się bardzo spieszyło do powrotu. Ładunek był potężny. Za jednym razem zabrano wszystko co było przeznaczone na cały sezon: sześć powielaczy — w tym jeden bębnowy Roneo Vickers („NOWa” straci ten powielacz wiosną 1981 roku, SB zabierze go już na zawsze przy kolejnej wpadce). Dlaczego o tym piszę? ten typ powielacza był najbardziej poszukiwany w kraju i miało to swoje uzasadnienie. Cała tajemnica polegała na konstrukcji powielacza, a mianowicie matryca białkowa leżała na bębnie, który się obracał. Przez to matryca nie pękała tak szybko jak np. w Gestetnerze, gdzie wisiała na siatce. Taki typ maszyny był, jak wspomniałem, bardzo poszukiwany, ale niemal niedostępny na rynku polskim. Ładunek zawierał także całą masę innych potrzebnych rzeczy. Dzisiaj już nie jestem w stanie ich wymienić; Niestety nikt wtedy nie prowadził zapisów. Myślę, że gdzieś w Londynie jest dokumentacja z tego okresu. W każdym bądź razie mieliśmy nietęgie miny, kiedy po załadunku naszego statku poziom linii wodnej jachtu znacznie się obniżył. Drugim faktem, który mógł niepokoić, to ilość książek, jaka została zabrana z mojej biblioteki, a w szczególności wydawnictw „Kultury”. Obiecano mi refundację, ale nigdy się tego już nie doczekałem. Pożegnanie było minorowe. Wszyscy czuli, że coś się święci, ale nikt nie potrafił sprecyzować co. Ustaliliśmy, że należy zrobić rejs niezależnie od tego, że może nie być sprzętu. Jacht odpłynął na parę dni przed początkiem strajku w stoczni. Gdzieś po tygodniu, zgodnie z moimi wyliczeniami, oczekiwałem potwierdzenia, którego jak zwykle nie było. Nie wiem, czy na moje szczęście czy nieszczęście wybuchł strajk w Stoczni Gdańskiej. Po paru dniach Wybrzeże zostało odcięte od połączeń telefonicznych i moje problemy się skończyły.

Na tym zakończył się jakby pierwszy etap, mojej i innych wspianych ludzi, działalności na rzecz opozycji przedsierpniowej w kraju. Myślę, że jak na skromne możliwości zrobiliśmy dużo, a co najważniejsze zbudowaliśmy podstawy na przyszłość, absolutnie nie zdając sobie sprawy z tego faktu. Był to okres, kiedy chęć pomocy była rzeczą jak najbardziej naturalną, a w wielu wypadkach niemal sprawą honoru. Oczywiście mam tu na myśli tych ludzi, którzy uważali, że trzeba coś zrobić. Nie przesadzę na pewno, jeśli napiszę, że „knucie” — jak to

napisał później Maciek Poleski [2] — było potrzebne do życia, wciągało jak narkotyk. Był to pewnego typu hazard, który dawał cholerną satysfakcję. Wystarczyło spojrzeć na półkę z wydawnictwami niezależnymi, aby zrozumieć wymiar sukcesu, który się współtworzyło. Oczywiście nie należy tu wpadać w zachwyt nad samym sobą, ale pozostaje faktem, że również my tutaj na emigracji mieliśmy w nim swój udział. [...]

Tekst opublikowany w piśmie *SOWINIEC. Materiały historyczne*, nr 27, Grudzień 2005. Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego, ss. 169-180.

Podobna tematyka na: [Zapluty karzeł emigracji](#)

Zobacz także te strony:

[Zapiski londyńskie 1988/1989 cz. 1](#)

Przypisy:

[1] Aluzja do publikacji H. Piecucha, *„Wojciech Jaruzelski tego nigdy nie powie”*. *Mówi były szef wywiadu i kontrwywiadu, pierwszy zastępca Ministra Spraw Wewnętrznych gen. dyw. Władysław*.

[2] Maciej Poleski, pseud. Czesława Bieleckiego, szefa podziemnego Wydawnictwa CDN, współautora poradnika *Mały konspirator* (wyd. CDN, Warszawa 1982).

Marian Kaleta

Wyjechał z Polski nielegalnie w 1969 roku. Od 1971 mieszka w Szwecji. Przed powstaniem "Solidarności" nawiązał kontakty z paryską "Kulturą" i Polskim Rządem na Uchodźstwie. Po powstaniu NSZZ "Solidarność" współtworzył "Polenkomitten". Współtwórca Conference of "Solidarity" Support Organizations w Południowej Szwecji. Po ogłoszeniu stanu wojennego zorganizował głódówkę protestacyjną w Katedrze w Lundzie. Od 1982 rozpoczął ścisłą współpracę z Biurem Brukselskim dzięki czemu przeszmyglowano do Polski kilkaset maszyn poligraficznych dla podziemnych wydawnictw. Związany z Grupą Oporu "Solidarni". W 2007 r. odznaczony przez prezydenta Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Bohater filmu dokumentalnego TVP Polonia z cyklu "Dziękujemy za solidarność" (lipiec 2008)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 29-09-2008)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,6111) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,6111>)

Contents Copyright © 2000-2008 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora.

Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do Racjonalista.pl

okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl